



Zofia Mossakowska

AKROBACI

Zofia Mossakowska

**AKROBACI**

*JanKa*  
2016

Copyright © Zofia Mossakowska, 2016  
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2016

Wydanie I (fragment)  
Pruszków 2016

ISBN 978-83-62247-45-5

*Für Doktor Sherko Kümmel.  
I dla doktora Prystupy.  
I jeszcze dla doktor Agatki.*



## 1

Znowu miałem ten sen.

Czekam przed zasłoną. Jest przecięta przez środek. Nagle widzę błysk i dwa sznury ściągają ją na boki. Kurtyna staje się przepołożoną kokardą.

Między jej skrzydłami stoję ja. Mam kosmiczny strój, ale – jak to w snach – wcale mnie to nie dziwi. Przeciwnie! Bardzo podobam się sobie w pąsowym kostiumie, który na dodatek cały ozdobiony jest cekinami. Mam też odlotowe buty. Patrzę na nie i przypominam sobie – te buty są cholernie ważne. Wszystko zależy od obutych stóp, moje życie zależy od...

Niestety, nie mam czasu na dalsze rozważania, bo eksplozja reflektorów oślepią mi oczy. Mrużę powieki i zaraz się tego wstydę; powinienem być przyzwyczajony. Przypominam sobie i wiem: przecież ja wychodzę zza tej kurtyny od dawna, od miesięcy, może lat. Jestem profesjonalistą! Uzbrajam twarz w reklamowy uśmiech. I rozkładam szeroko ręce: jestem tu! I natychmiast ogarnia mnie niebiańska ulga. Poprawiam uśmiech, poprawiam ciało, wystawiam się na szalejące światło reflektorów. Oto ja, Szanowna Publiczności! Patrzcie na mnie! Dzięki mnie zapomnicie o całym waszym świecie. To ja, Akrobata! Sprawię, że rozplyniecie się w zachwycie. Odrzucicie ze mną pod nieboskłon.

A publiczność rzeczywiście szaleje. Rozpoznają parę znanych twarzy, ale nie zamierzam się nimi zajmować. Pod deszczem oklasków

robię trzy kroki, pod stopami czuję piach. Wiem, że te trzy pierwsze kroki na arenie, która mimo zamiatania zawsze jest trochę zapiaszczona, mają magiczną wartość. Dzięki nim nakręcam sprężynę wewnętrznego patefonu, jestem derwiszem, który inicjuje cud.

Moje pewne taneczne kroki prowadzą mnie do błyszczącego słupa i kapryśnej ruchomej drabinki. Kiedy do nich docieram, sen się urywa.

Teraz leżę i gorączkowo się nad nim zastanawiam.

Jak to możliwe, że pamiętam jego dalszy ciąg? Nigdy nie dośniłem tego snu do końca, a jednak gdzieś w mojej przyczajonej pamięci wszystko jest zapisane. Krok po kroku, nuta po nucie cyrkowej orkiestry. Pamiętam każdą drobinę piasku areny i chłód stopni metalowej drabinki. Każdy odcień oklasków posyłanych mi pod kopułę namiotu, okrzyków dla dodania odwagi.

Mnie nie brakowało odwagi. Ani siły. Może tylko trochę pokory.

Wiem natomiast, że zdarzyło się coś złego.

Jakiś pieprzony błąd.

## 2

– Cześć, Akrobato!

Dopiero zbliżała się do progu mojego pokoju. Uprzedzała mnie, zupełnie jakbym mógł myśleć, że ktoś inny mnie odwiedza.

– Fajnie, że cię zastaję w domu.

To była nasza gra. Zawsze ta sama.

– Już miałem wyjść, ale przyszło mi do głowy, że wpadniesz. To zrezygnowałem.

– Cholernie miło z twojej strony. Zajebicie.

– Wiem. Ja po prostu taki jestem: zajebisty.

Wyglądała jak zwykle, czyli zmęczona i niedospana.

To dla mnie zagadka, co doprowadza ją do tego stanu. Teoretycznie mogła i odpocząć, i porządnie się wyspać. Chciałem wiedzieć, dlaczego tego nie robiła. Zamiast tego miałem pewność, że ominą mnie wszelkie wyjaśnienia. Niekoniecznie z braku zaufania czy

dlatego, że jako facet nie rozumiem. Ona i ja generalnie się rozumieliśmy. Więcej, byliśmy przyjaciółmi. I całkiem niezłe się nam to udawało, mimo teoretycznie konfliktownego układu.

Facet i kobieta. Należy dodać, że dwukrotnie starsza.

– To chyba głupio brzmi, kiedy stara ciotka używa takich słów, co? – zapytała. W założeniu miało być chyba dowcipnie. Wypadło tak sobie.

– Takich jak „zajebisty”?

– Na przykład... Ale znam gorsze.

– Wierzę ci. – Nie chciałem jej zachęcać. Czasem inicjowała takie prawki, bez zachwyty z mojej strony. Poza tym wiedziałem, że za chwilę wejdzie mama. – Nie jesteś stara. A ciotka z ciebie przyszywana, żadna prawdziwa.

– To coś zmienia?

– Właściwie nie – przyznałem. Oboje roześmieliśmy się, prawie w tej samej chwili.

Była jedyną osobą, z którą umiałem się śmiać.

Jak zawsze przyniosła swoją wierną torbę. Był to przeogromny egzemplarz, ciężki i nieporęczny. Siadając na moim łóżku – ja jak zwykle okupowałem miejsce przy biurku – przekładała ją sobie z ramienia na kolana. Wyglądało to tak, jakby ją tuliła. Zamiast dziecka, którego nie miała.

Ktoś – ktoś głupi – mógłby tak pomyśleć.

Pogładziła tę torbę. Był to bardzo czuły gest.

– Dla ciebie. – Jej dłoń zanurkowała głęboko. Wróciła wypełniona aksamitem. Pąsowe etui, doskonale mi znane. Podobnie jak ten kolor. Majestatyczna czerwień. Często myślałem, że wybrała ją ze względu na mnie.

– Dzięki. – Odebrałem od niej etui. Taką czerwieńią mienił się mój cyrkowy kostium. – Dużo tego?

– Do pełna.

– Super. Przyda się na wakacje nad morzem.

– Chcesz jechać nad morze?

– Ja nie, matka. Uważa, że tego potrzebuję.

– Pewnie tak jest.



– Może.  
Ponowny wspólny śmiech.  
– A ty nie masz ochoty?  
– Nie wiem. – Byłem z nią szczerzy. – Sto lat nie byłem nad morzem.  
– Można wiedzieć, jak ty to liczysz, smarkaczu?  
– I tak byś nie zrozumiała.  
– Fakt – potwierdziła natychmiast. – W liczeniu jestem kompletnym matolem.  
Oczywiście kłamała.  
– A jakbyśmy tak razem pojechali? – zapytała po chwili, z uśmiechem.  
– My? – Chciałem to przedłużyć. Jej uśmiech zawsze mnie powalał. Choć w moim wypadku jest to może głupie określenie.  
– Może nad morze? – rzuciłem w powietrze.  
– Może. – Ale może miała na myśli „morze”. Nie wiem.  
– Ja, ty i matka?  
Pokręciła głową. Jakby mnie karciała.  
– Nie, smarkaczu, w odwrotnej kolejności.  
Teraz ja pokręciłem głową, trochę za szybko.  
Nie. Żadnego wyjazdu.  
Poczułem jej dłoń na swojej. Była zimna. Jak dotąd nie pojąłem, dlaczego ktoś taki jak ona ma zimne dłonie.  
– Spacer? – zaproponowała łagodnie. – Co powiedziałbyś na cudowny spacer dookoła bloku?  
Potrzebowałam paru sekund.  
– Okej – zgodziłem się. – Może być nawet do naszego cudownego parku.  
– Wow, smarkaczu! – powiedziała. – Naprawdę odważny z ciebie facet.  
Zajrzała mi w oczy. Ktoś może dodałby: „zalotnie”.  
– Zaraz tam smarkacz.  
Wypchnęła do przedpokoju wózek inwalidzki.  
Oraz mnie. W nim siedzącego.

Teraz już wiecie.

Jestem akrobatą i mam niesprawne ciało. Tak na dobre.

Co oznacza, że nigdy nie będę chodził. Nie tylko tak jak wcześniej, czyli jak cyrkowiec. Po linie, równoważni albo po barierce. Nie, ja nie będę chodził wcale. Nie stanę w pozycji pionowej, na dwóch nogach. Moje stopy mnie nie podeprą. Nie poczuję ani tych nóg, ani tych stóp, ponieważ moje czucie kończy się mniej więcej na splocie słonecznym.

Dobrze, że pozostał mi ten splot. Słoneczny.

Istnieją teorie twierdzące, że splot słoneczny jest jednocześnie odbiornikiem i nadajnikiem łączącym jednostkę – czyli człowieka – ze wszechświatem. Jest rodzajem czulej membrany reagującej na drgania cząsteczek kosmosu.

Czulej, inaczej drażliwej.

O, tak. To na pewno.

Projekt okładki:  
Anna M. Koźbiel

Zdjęcie autorki:  
Jacek Mossakowski

Redakcja i korekta:  
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:  
MJK

ISBN 978-83-62247-45-5

Wydawnictwo JanKa  
ul. Majowa 11/17  
05-800 Pruszków  
694 536 051  
[wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl](mailto:wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl)  
[www.jankawydawnictwo.pl](http://www.jankawydawnictwo.pl)